

Gdzie twoje gniazdo Johnie Lennonie?

*...słodka Francja jest krajem wręcz pierwszorzędnie kopniętych, [...]
ale Belgia jest chyba jeszcze lepsza.*

Julio Cortazar

Nie pragnąłem kłopotów. Co więcej, nie chciałem mieć z nimi nic do czynienia. Jeden kłopot to nie kłopot, ale wiem z doświadczenia, że te dranie nie lubią samotności i włączają się watahami po świecie, żeby w końcu dopaść kogoś tak mało ważnego jak ja.

A przecież kto mógłby przewidzieć, że kłopot może być gołębiem beznadziejnie zaplątanym w nylonowe sznurki, którego znalazłem pewnego słonecznego popołudnia w Parku Josaphata. Wylegiwałem wtedy jak co dzień nad stawem i myślałem o tym, jak długo będę w stanie utrzymywać w przekonaniu moich rodziców pędzących przedwieczne życie mieszkańców wspaniałej belgijskiej wsi, że wciąż uczęszczam na studia. To nie było tak, że nie zależało mi na powrocie w szacowne mury uniwersytetu. Szczerze chciałem tam wrócić, ale na mojej drodze stało parę przeszkód. Pierwszą z nich było to, że wykładowca, z którym miałem przyjemność mieć małą różnicę zdań w kwestii długości moich włosów, nie byłby pewnie zbyt chętny, żeby zobaczyć z powrotem na swoich zajęciach studenta, który wymalował mu oko przepięknym fioletowym kolorem. Co gorsza, trzeba by go było najpierw przeprosić, co moje urażone do tej pory ego kwitowało szkaradnym rechetem. O podejście rektora nie miałem się co specjalnie martwić, bowiem starszek był do mnie dosyć przyjaźnie usposobiony; na jego zajęciach, tak jak z resztą na większości pozostałych, miałem same piątki lub czwórki, przetykane nielicznymi trójkami. Sam się temu nieco dziwiłem, biorąc pod uwagę moje dość intensywne życie poza murami uczelni.

Zamyśliłem się więc głęboko i odwróciłem na brzuch, by spytać się mrówek, co sądzą o tej sprawie, kiedy nagle zobaczyłem, że w pobliskim krzaku coś trzepece się rozpaczliwie. Podparłem się rękoma i z cichym westchnieniem podniosłem się. Mogę mieć ludzi w jak najniższym poważaniu, ale krzywda żadnego stworzenia nie jest mi obojętna. Podeszedłem ostrożnie do krzaka i zobaczyłem tam pięknego gołębia szamocącego się w kłębie sznurków. Tracił już siły i uderzał skrzydłami coraz słabiej, a krew plamiła jego szare piórka. Gdy mnie dostrzegł, zamarł i rozłożył skrzydła w geście absolutnej bezradności. Cekał na pomoc.

–Spokojnie, już do ciebie idę – powiedziałem cicho i rozgarnąłem listowie powolnymi ruchami.

Schwyciłem gołębia ostrożnie, posadziłem go obok siebie na trawie i zacząłem rozplątywać duszące go sznurki. Musiał walczyć z nimi już od kilku dni, bo wżynały się głęboko w jego delikatną skórę i zdążyły już niezgorzej ją rozorać. Gdzieniegdzie rany zaczynały wyglądać już paskudnie: wdawało się zakażenie. Gołąb nie stawiał oporu, a jego serce biło dziwnie spokojnie.

„Pewnie jest oswojony” – pomyślałem i kontynuowałem oswobodzenie ptaka. Kiedy pozbyłem się ostatniego sznurka i wyrzuciłem cały kłęb do kosza na śmieci, zacząłem zastanawiać się, co z nim dalej zrobić. Wyglądał na strasznie osłabionego i nie miał szans, żeby przeżyć w tym parku choćby jedną noc. Zrobiłem więc to, co zrobić powinienem: wyjąłem z kieszeni piersiówkę, którą trzymałem tam zawsze na czarną godzinę i przemyłem ptasie rany, a następnie wsadziłem go za pazuchę i poszedłem z nim do domu.

Do domu. Raczej do mieszkania. Najnędniejszej dziury w Ixelles. Wiem, że brzmi to nieco jak oksymoron, lecz moi rodzice uparli się tak beznadziejnie, abym miał blisko na

uniwersytet, że przekonanie ich o zasadności znalezienia tańszego mieszkania dalej od centrum spełzło na niczym. Jakby od bliskości świątyni nauki miało mi przybyć mądrości. Nie przybyło. Tak więc szukali tak długo, aż ją znaleźli: małą kawalerkę, która wciskała się swymi kilkoma metrami kwadratowymi w najciemniejszy kąt kamienicy pamiętającej z pewnością lepsze czasy, a ja mogłem przynajmniej powiedzieć, że mieszkam w Ixelles.

Brzmiało to tym bardziej dumnie, że kilka ulic dalej stoi sobie kamienica, w której urodził się Julio Cortazar. Po kilku naprawdę wspaniałych dniach, kiedy codziennie wspominałem to niezwykle sąsiedztwo okrytych złotem literatury murów, przestałem, o zgrozo, o tym myśleć. Uczyniłem to ponownie dopiero wtedy, kiedy z gołębiami pod pachą przemierzałem kolejne ulice pełne popołudniowego zgiełku i brukselskich ważnych spraw, którymi i ja miałem się jeszcze do niedawna zajmować. Teraz zaś, pod kanonadą szybkich i ciekawskich spojrzeń przechodniów, którzy udawali, że nie interesuje ich to, co trzymam za pazuchą, czułem się jakbym właśnie spadł z jakiejś odległej o tysiące świetlnych lat planety, gdzie ludzie mają włosy do pasa, ubrania we wszystkich kolorach tęczy i piaskiem w swych dłoniach gołąbki pokoju.

Wypuścił go tylko na chwilę dosłownie, na krótką przelotkę, nawet nie na prawdziwy trening. Wydawało mu się, że jest osowiały, że brak mu ruchu. Otworzył więc jego klatkę i patrzył z niegasnącym uwielbieniem na ten taniec radości na tle błękitnego nieba. Patrzył na silne skrzydła, wygięte w idealny łuk, patrzył na sterówki furkoczące przy szybszym zwrocie jak czysta prędkość, patrzył na poruszającą się rytmicznie pierś okrytą aksamitnym puchem. Codziennie zatracił się w tej małej przyjemności, w zasadzie jedynej jaka mu pozostała. Nie zaliczał bowiem do przyjemności prowadzenia fabryki, podpisywania ton papierów, ciągłych kontroli i tysięcy formalności, które spadły na niego po jego powszechnie szanowanym ojcu. Teraz on był powszechnie szanowanym człowiekiem i czynił wszystko, aby jego syn też został kiedyś powszechnie szanowanym właścicielem fabryki. Ale nie sprawiało mu to żadnej satysfakcji, tak samo zresztą, jak spędzanie czasu z żoną, czy wychowywanie dzieci. Dzieci wydawały się mu mniej pojętne od dobrego pocztowego gołębia.

Tak więc zatopił się bez reszty w tej nirwanie poranka i zataczał wraz ze swym najlepszym ptakiem okręgi w przestworzach. Nagle na horyzoncie zamajaczył drapieżny cień i harmonia prysła w okamgnieniu. Ku jego złotu, szaremu księciu nieba, pikował jastrząb, wyciągając pazury, które ryły powietrze z szatańskim świstem. Nie miał nawet siły krzyknąć. Osunął się na ławeczkę ze zgrozą w wyblakłych oczach, zapominając zupełnie o dubeltówce, która wisiała w domu nienaładowana od dobrych kilku lat. Jego duma, jego skarb wymykał się ze zręcznością, którą można by nawet nazwać przejawem najwyższego artyzmu, gdyby nie to, że ptak walczył o siebie. Wirowali razem, tańcząc okrutny taniec życia i śmierci, taniec drapieżnika i ofiary, taniec przedwieczny. Wtem gołąb wziął większy zwrot i pomknął ku gęstwinie młodego lasu, w której zniknął tak szybko, jakby nigdy go na świecie nie było, jakby rozproszył się w niebycie zieleni.

Kiedy tylko jastrząb odleciał, on uniósł się powoli z ławki, ocierając perlisty pot, który wezbrał wartką rzeczką w fałdach jego podbródka. Chwiejnym krokiem podążył ku granicy lasu i zagwizdał niepewnie. Raz, drugi, trzeci. Odpowiedziała mu cisza szelestu liści.

Musiał go odnaleźć. Za wszelką cenę.

W małym miasteczku nowiny rozchodzą się bardzo szybko, szczególnie te złe. Już po południu wszyscy w Puurs wiedzieli, że najcenniejszy gołąb w okolicy, oczko w głowie zdziwaczałego Fernanda Roosesa, uciekł mu o poranku. Co niektórzy wiedzieli również, że właściciel fabryki wynajął już ludzi, którzy przeczesują okolicę, nie szczędząc oczu, smakowitych ziarenek oraz innych, na razie delikatnych, środków, by znaleźć wspaniałego ptaka.

Jednym z nich był Max Lambert, który właśnie cierpiał na doraźny brak gotówki, spowodowany krótką co prawda, ale uciążliwą, przerwą w zarabianiu. Przerwa ta nie była niestety urlopem w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz pobytem w więzieniu za pewną niezbyt dobrze przez jego współnika zorganizowaną kradzież z rozbojem. Wspólnik na zawsze będzie już pamiętał, że takich błędów popełniać nie można, on jednak przez czas spędzony w więzieniu nabrał dość dużo zaległości, które drażniły go niezmiernie.

Tak więc kiedy usłyszał o zgubie Roosesa, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Dość trudny do wykonania, ale Max pożył nowych wyznań. Diabelnie mocno.

Nie wiedziałem specjalnie, gdzie mam biedaka umieścić. Pobieżne przetrząśnięcie mojej nory nic nie dało, może przez dziwną właściwość mojego mieszkania, która polega na tym, że szukaną rzecz znajduję zawsze za trzecim podejściem. Wtedy zacząłem domyślać się, że powinienem coś z tym faktem zrobić, ale wiązało się to nieuchronnie z porządkami. Ta myśl napawała mnie wstrętem. Na szczęście wpadło mi w oko pudełko po butach, w którym trzymałem zapasowe trampki. Poszybowwały one z furkotem sznurowadeł w kącie korytarzyka, a ja wróciłem z nim do salonu, gdzie owinięty w kurtkę siedział mój nowy towarzysz. Nie wydawał się być specjalnie zaniepokojony nową sytuacją, szczerze powiedziawszy, na jego dzióbku zobaczyłem coś w rodzaju zmęczonego uśmiechu.

Żeby było mu miękko, poświęciłem swój świeżo wyprany podkoszulek. Wyłożyłem nim odkurzone pudełko i umieściłem gołębia w tym prowizorycznym gniazdku. Kiedy wysuwałem spod niego dłoń, poczułem, że zawadza o nie obrączka.

–Będę musiał gdzieś cię zgłosić, nieboraku – mruknąłem do niego.

Pójść na komisariat jednak chwilowo nie miałem ochoty.

Nalałem dla niego wody na podstawkę pod doniczkę i otworzyłem szafkę w poszukiwaniu czegoś, co mój gość zjadłby bez wstrętu. Zacząłem właśnie tak o nim myśleć: jako o pierzastym gościu znużonym długą podróżą. Jego ślepka patrzyły na mnie tak, jakby rozumiały wszystko.

–Przepraszam pana za ten bajzel, ale nie wiedziałem, że pan wleci – powiedziałem ze śmiertelną powagą.

Nagle przypomniałem sobie o paczce łuskanego słonecznika, którą otworzyłem przy okazji ostatniej imprezy, którą urządziłem zanim wyrzucono mnie z uniwersytetu. Na szczęście dla ptaka nie lubiłem solonych. Nasypałem więc trochę ziarenek do jakiejś płaskiej miseczki i położyłem tuż przed nim, tak by bez trudu mógł sobie trochę skubnąć. Wyciągnął szyję i schwycił pierwsze ziarenko z delikatnością, którą oglądać u ludzi można tylko na najwykwintniejszych bankietach noworocznych. Tak samo schwycił drugie i trzecie, a ja zdałem sobie nagle sprawę, że nie spytałem się go jeszcze o imię.

–Jak się pan nazywa? – spytałem, kiedy mój gość przerwał na chwilę delektowanie się słonecznikiem.

Na dźwięk mojego głosu, uniósł swój kształtny dziób i obrócił się profilem, a jedno z jego pomarańczowych oczu spojrzało na mnie z przenikliwością człowieka, który widział niejedno, lecz mimo to zachowuje w swej duszy pokój i nieprzemijającą radość.

Dowiedziałem się w ten sposób, że jego nazwisko brzmi Lennon.

–Jeśli pan pozwoli, możemy przejść na ty – zaryzykowałem, a gołąb poruszył się nieco w swoim gniazdku i zagruchał cicho.

Max o gołębiach pocztowych wiedział niejedno, tak samo, jak o wszystkim innym, co do tej pory odbierał prawowitym właścicielom. Zdawał sobie sprawę, że zawodowstwo to jedyna droga do sukcesu w tej trudnej branży. Rozłożył na stole w swoim salonie mapę okolicy.

–Teraz raczej nie będzie chciał wrócić do gołębnika – mruknął, opierając się o krawędź stołu i mimowolnie kołysząc się na piętach. – Gniazdo zagrożone to gniazdo stracone. Na pewno więc kręci się gdzieś w okolicy. Raczej nie poleciał w kierunku morza, bo wie, że wiatry są tam silne i niebezpieczne... – zamyślił się.

–W okolicy gołębi nie hoduje aż tak wiele osób, więc mogę pokręcić się koło tych paru gołębników – stwierdził po namyśle. – Ale tam będą już na niego czatować ludzie Roosesa. A mi coś się wydaje, że nasza zguba mogła polecieć do Brukseli – uśmiechnął się do swego niezawodnego kompasu, który nigdy się jeszcze nie pomylił.

Kiedy przeszedłem już na ty z Johnem, doszedłem do wniosku, że trzeba to jakoś uczcić. Wyciągnąłem więc z lodówki butelkę Julipera i nastawiłem w adapterze najnowszych Beatlesów.

–Zobacz John, tu jesteś – podsunąłem mu pod dziób okładkę płyty i wskazałem na pierwszego w rządku pana w białym garniturze, który prowadził pozostałych na przejściu dla pieszych. – Jesteś trochę bardziej szary, ale podobieństwo jest uderzające – stwierdziłem i opadłem koło niego na fotel.

Sprężyny jęknęły tysiącem wieczorów, a ja zasłuchałem się razem z moim nowym towarzyszem w „Abbey Road” i łagodnym szumie wieczornej Brukseli. Po chwili zaważyłem, że Johnowi skleiły się ślepka, a chwilę później wsunął dziób pod skrzydło.

–Kimaj sobie chłopie – szepnąłem i ściszyłem płytę.

Właśnie teraz zdałem sobie sprawę, że nie mam co robić. Tak beznadziejnie wolno płynęły te dni bez studiów, bez imprez, bez celu. Inaczej sobie to wyobrażałem. Moi kumple uczyli się teraz, a ja nie mogłem zdobyć się nawet na to, aby otworzyć książkę. Od dwóch tygodni szwendałem się tylko po mieście, starając unikać się zarówno wykładowców, jak i moich kolegów. Oni też chowali długie włosy za koszulami, ale jakoś ich to obeszło. Mnie nie. Nie czułem do nich specjalnie za to żalu, choć patrząc teraz na pierwszego gościa od tamtego czasu, z którym zamieniłem chociaż kilka słów, zdałem sobie sprawę, że mogliby się jednak do mnie odezwać. Zapusiłem się i dobrze o tym wiedziałem. Wstyd mi było pokazać się Mili, z którą nie rozmawiałem od czasu, kiedy mnie zawieszono, zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć rodzicom.

Siedząc tak w starym fotelu, słuchając Beatlesów, sącząc powoli i bez przekonania piwo, powoli dojrzywałem do powrotu na uniwersytet.

–To będzie cholernie trudne – mruknąłem.

Nie wiedziałem zupełnie, jak się do tego zabrać. To, co jeszcze po południu wydawało się proste jak drut, teraz wydawało się być niemal niewykonalne.

–No, bo jak niby mam się tam z powrotem pokazać? Przecież już przy wejściu cieć przegoni mnie miotłą. A niech to wszystko szlag! – warknąłem i wstałem z fotela, aby wyrzucić butelkę do kosza, z którego wystawał już cały wór śmieci, skwapliwie upychanych od co najmniej tygodnia.

–Muszę się wziąć za siebie – mruknąłem. – Bo jak tu mieć syf przy Johnie?

Spojrzałem do salonu, gdzie na stole spał mój Lennon, wciąż z dzióbkiem wtulonym pod skrzydło. Wyglądał jak szary duch pokoju, wysłannik niebios wśród nieopisanego brudu.

–Jutro się to zmieni – postanowiłem i w ubraniu padłem na nieposłane łóżko.

Fernand dostawał raporty co trzy godziny. Z dokładnością co do minuty w jego biurze meldował się jeden członek ekipy poszukiwawczej. Siadał przed biurkiem, zarzucając zamasyżycie nogę na nogę i ignorując wspaniałej wielkości płat zaschniętego błota, który opadł delikatnie i bezszelestnie na świeżo wyczyszczony dywan, relacjonował wszelkie zajścia, jakie miały miejsce przy przetrząsaniu lasku, wszystkich okolicznych zagajników i przy rewizjach gołębników. O tym opowiadał ze szczególną przyjemnością, choć gwoli

ściśłości wspominał jednak, że właściciele gołębi nie czynili mu praktycznie żadnych problemów.

Rooses znosił nie tylko błoto, ale i całą aparycję wynajętych przez niego dżentelmenów znacznie lepiej niż sprzątaczką i żonę. Znosił również ich spojrzenia rzucone spod rzęs, ciskające gromy, które widywali pewnie tylko bogowie Olimpu. Nie dbał o nie zupełnie. Rozważał nawet zatrudnienie drugiego zespołu, tak dla konkurencji i podbicia stawki, bowiem wiedział jak nikt, że rywal uskrzydla najlepiej. Dzisiaj zamiast obowiązkami dyrektorskimi, zajmował się projektowaniem ogłoszenia o swoim zaginionym skarbie. Obok zdjęcia i numeru obrączki pojawiła się nagroda. Ilość zer rosła z każdym zdesperowanym pociągnięciem pióra.

Gdy Max Lambert zobaczył dziś wieczorem wywieszane na rynku ogłoszenia, uśmiechnął się pod wąsem. Podjechał do stacji benzynowej napełnić bak swojej starej Imperii i kupić coś na lekką kolację. Jutro musiał wstać wcześniej.

Obudziłem się jak zwykle o dziesiątej. Wygrzebałem się z pościeli skołtunionej tak bardzo, jak moje włosy, które ujrzałem po dotarciu do łazienki. Nazywałem ją tak bardziej z przekory, bowiem jej wielkość nie przekraczała wymiarów wiejskiej szafy, ale mimo wszystko starczała mi na moje małe, dalekie od jakiegokolwiek wygórowania, potrzeby. Zimna woda znakomicie podziałała na moje przytępione snem zmysły, tak samo jak szare mydło i szorstki ręcznik. Po odbyciu owej krótkiej toalety byłem gotowy, by pokazać się mojemu gościowi, który wyglądał właśnie ze swojego gniazdka.

–Jak się masz, John? – zagadnąłem gołębia. – Głodny już jesteś? – zapytałem, zerkając do miseczki po ziarenkach, która stała pusta.

Lennon zagruchał na powitanie i uniósł się na słabych jeszcze łapkach.

–Nie forsuj się chłopie, już ci coś przyniosę – uspokoiłem go i poszedłem do kuchni po resztę słonecznika.

–Jeśli na mnie chwilę poczekaasz, to zjemy razem! – zawołałem, smarując sobie tost kremem czekoladowym.

Uwielbiałem to paskudztwo.

Zrobiłem sobie kawę i wróciłem do salonu z ziarenkami i wodą dla Johna oraz z dwoma tostami dla siebie.

–Frykasów to ty raczej u mnie nie zjesz – powiedziałem, stawiając przed Lennonem miseczkę i dolewając mu wody. – Ale coś się przynajmniej znalazło.

Wgryzłem się w tost i w salonie zapanowała cisza, przerywana jedynie głośniejszym stuknięciem gołębiego dziobu i moim głośniejszym młaśnięciem. John najwyraźniej podzielał moją niechęć do rozmawiania przy jedzeniu. Gdy po tostach i ziarenkach zostały już tylko okruszki, usiadłem z kawą w fotelu i zacząłem zastanawiać się, co robić dalej. Sprzątanie czekało, bowiem mimo mojej głęboko zakorzenionej antypatii co do tej czynności, dane słowo zawsze jest dla mnie święte. A tym bardziej słowo dane Lennonowi.

–I po co ty się dałeś złapać w te sznurki? – zapytałem z niejakim wyrzutem Johna. – Miałbym dalej bajzel, a ty święty spokój. Będę musiał zejść do sklepu coś dla ciebie kupić. Może dostanę niesolone pestki dyni?... Bo na tym chyba kończy się asortyment spożywczego w Ixelles dla kogoś takiego jak ty.

–Ale najpierw porządku – zebrałem się w sobie i podniosłem się z fotela.

Gdy John usłyszał moją deklarację, od razu spróbował wydostać się z pudełka.

–Też tego nie cierpisz, co? – zaśmiałem się i usadziłem go z powrotem. – Uwierz mi, nigdzie się przed miotłą nie schronisz. Przeniosę cię na razie do kuchni i nie próbuj z łaski swojej się za daleko ruszać. Wciąż jesteś nieco słaby.

Ustawiłem kartonik z Johnem w kuchni i rozpocząłem sprzątanie.

Wieczorem w klatkach Roosesa gołębie biły skrzydłami jak oszalałe. Między nimi chodził on sam, tam i z powrotem, tak, jak lunatyk podczas zimowej pełni. Od czasu do czasu zatrzymywał się przed jakimś boksem i jego rozbiegane oczy obejmowały zachłannie szare pióra swego pupila. Wyciągał rękę, by go dotknąć, ale każdy z nich odsuwał się wtedy od niego, czując wściekłość, której ich ptasia dusza nie rozumiała. Bały się go tak jak jastrzębia. Fernand w końcu zrezygnował i wyszedł na powietrze, by zagwizdać raz jeszcze. Młody wieczór odpowiedział mu głosem zakochanych świerszczy.

Dopiero kiedy wróciłem ze sklepu, zdałem sobie sprawę, co zrobiłem. Gdy tylko otworzyłem drzwi wejściowe, zalała mnie powódź światła wydobywająca się przez umyte okna. Zasłoniłem oczy torebką ziarek dyni. Ziarna słonecznika trzymałem w kieszeni.

–I jak ci się podoba moje mieszkanko? – zamknąłem za sobą drzwi i wszedłem do salonu.

Lennona nie było w swoim pudełku.

Nagle powietrze obok mojej głowy zawirowało i na ramieniu wylądował John, czepiając się pazurkami wyciągniętej koszulki.

–Ej, John, już ci lepiej? – spytałem, obracając delikatnie głowę, ku mojemu towarzyszowi. – Dość szybko dochodzisz do siebie, nie ma co – skwitowałem i przeszedłem przez lśniący czystością salon do kuchni, by odłożyć zakupy.

John cały czas siedział na moim ramieniu.

–Zobacz, co ci przyniosłem – zademonstrowałem mu dwie torebki. – Dzisiaj na obiad będzie dynia i lepiej, żebyś ucieszył się z tego, że przynajmniej wiesz, co zjesz. Ja jeszcze nie dostąpiłem tego zaszczytu – bajdurzyłem, chowając zakupy do pustych szafek, na których nie leżała już roczna warstwa kurzu.

–Pora, żebyś chyba sobie usiadł na krześle – stwierdziłem. – Muszę ściągnąć buty.

Odłożyłem Johna na oparcie, nie napotykając z jego strony najmniejszego nawet oporu i ściągnąłem buty w maleńkim korytarzyku.

Poczułem jakąś dziwną radość. Radość bez żadnego powodu, radość prawdziwie słoneczną i dziecinną. Wziąłem z półki podręcznik i opadłem wraz z nim na pościelone łóżko.

–Głupi tam nie wróć – mruknąłem i zacząłem czytać.

Rzeński pęd porannego wiatru, chłodnego jeszcze, ale już pełnego obietnic sukcesu, był doprawdy upajający. Dlatego też Max Lambert nie zwlekał z wyjazdem do Brukseli do wieczora, jak zwykli to czynić ludzie jego pokroju, lecz wyruszał zawsze ze świtem w zawody. Jadąc samochodem w stronę stolicy i pogwizdując piosenkę z radia, myślał o wielu rzeczach, ale głównie o tym, że najłatwiej kraść się w samo południe.

John nie odstępował mnie ani na krok. Przyzwyczailem się już do lekkiego, gołębiego ciała siedzącego mi na ramieniu, kiedy robiłem jedzenie, kiedy się uczyłem, kiedy słuchałem Beatlesów i kiedy robiłem mnóstwo innych rzeczy. Był milczącym towarzyszem moich samotnych dni, które przestały już być samotnymi.

Znalazłem niedaleko sklep zoologiczny, a w nim karmę dla Lennona oraz garść porad, których udzielił mi sprzedawca, gdy tylko ochłonał ze zdziwienia, jakie musiałem w nim wzbudzić. Zarośnięty hipis w koszulce barwionej we wszystkie barwy tęczy proszący w centrum Brukseli o karmę dla gołębi pocztowych nie zdarzał mu się chyba zbyt często. John przywitał odmianę entuzjastycznym gruchaniem.

Lżej zrobiło mi się na duszy, gdy razem z nim wysmażyłem piękne podanie o przywrócenie mnie na uniwersytet. Gdy wróciłem z poczty, wytarosiłem z czułością Lennona i szepnąłem mu do ucha:

–To wszystko dzięki tobie, John.

Od tego dnia czas płynął już zdecydowanie szybciej, bowiem lada chwila mogłem dostać odpowiedź. Jedyne, czego mi brakowało, znajdowało się w parku Josaphata. Wilgotna trawa i to jedyne w swoim rodzaju połączenie szumu drzew z szumem miasta kusiło mnie niezmiernie i nie mogłem nic na to poradzić.

Pewnego dnia zdecydowałem się więc pouczyć razem z Johnem na świeżym powietrzu.

–Przyda ci się to chłopie – powiedziałem, zawiązując sznurówki i wkładając kawałek sznurka do kieszeni.

Zawstydziłem się tej przezorności, ale po chwili wahania doszedłem do wniosku, że Lennon może przestraszyć się i odfrunąć. Przełknąłem głośno ślinę. Dotarło do mnie, że ta mała kupka piór znaczy dla mnie więcej, niż mogłem się tego kiedykolwiek spodziewać. Ale wiedziałem, że i on może chcieć być wolnym, tak jak ja. W gołębiu też może przecież siedzieć niereformowalny hipis.

–Chodź John – szepnąłem, wsadziłem go sobie pod kurtkę i zamknąłem drzwi.

Wczesne przedpołudnie było w Ixelles dość spokojne. Wszyscy, którzy mieli pracę, już dawno do niej dotarli, a ci, którzy pracy nie mieli, nie byli liczni, więc byłem jednym z niewielu przechodniów na drodze prowadzącej do parku Josaphata. Może i dobrze, bowiem widok gołębiej główki wychylającej się z ciekawością zza pazuchy wzbudzałby zapewne spore wątpliwości dotyczące stanu mojego umysłu.

Gdy dotarłem nad moje ulubione miejsce, miejsce, gdzie znalazłem Lennona, postanowiłem zaryzykować. Wyciągnąłem spod kurtki nieco zmiętego przyjaciela i posadziłem go sobie na ramieniu.

–Możesz wybrać – szepnąłem ze ściśniętym gardłem.

Skrzydła zafurkotały nad moim ramieniem i John uniósł się w powietrze. Zadarłem głowę i patrzyłem na Lennona, który tańczył na bezchmurnym niebie ze szczęściem, które błysnęło do mnie jego pomarańczowymi ślepkami. Po policzku stoczyła mi się mała kropka, do której dołączyły następne i następne. Płakałem, śledząc lot mojego przyjaciela.

Nagle Lennon obniżył lot, wziął ostry zakręt i wylądował na moim ramieniu.

Ze łzami wciąż kapiącymi mi z brody, głaskałem jego aksamitne piórka.

Po niemal dwóch tygodniach przeszukiwania okolicy, Rooses zaczął tracić już nadzieję. Ogłoszenia, nagroda i dwie grupy poszukiwawcze nie działały nic. Jego pracownicy, żona i dzieci usuwali mu się z drogi, gdy tylko dostrzegali go na horyzoncie. Fabryka nieco zmniejszyła obroty, ale nic a nic go to nie obchodziło, tak samo zresztą jak ukradkowe uśmiešky mieszkańców Puurs, które pojawiały się na ich twarzach, gdy przechodził ulicami miasteczka. Zresztą uśmiešky te były nieco nieszczerze, bowiem co drugi obywatel Puurs po swojej pracy udawał się na chociaż krótkie poszukiwania po okolicznych zagajnikach. Gdy znajomi natykali się na siebie przypadkiem, odchodzili szybko, tak, jak gdyby się nie dostrzegali. Uganianiem za gołębiem po okolicy nikt specjalnie się nie chwalił.

Po paru dniach do Roosesa zapukali pierwsi chętni do nagrody, trzymając pod pachami podrobione ptaki. Co sprytniejsi fałszowali nawet obrączkę, ale Ferdynanda nie dało się zmylić. Doskonale wiedział, jak wygląda jego największy skarb.

Pierwszy tydzień Maxa Lamberta w Brukseli upłynął na intensywnych poszukiwaniach. Parki, skwery, sklepy, spelunki; wszędzie tam mógł zasięgnąć cennych dla niego informacji. Pokój w obskurnym hoteliku, który wynajął, nie kosztował go zbyt wiele, ale nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą stratę. Gdy więc pierwsza fala poszukiwań nie przyniosła rezultatów, Max zabrał się do nieco mniejszych, lecz intratnych projektów, które

jednak nie odciągały go od sieci zarzuconych we wszystkich najważniejszych punktach stolicy. Sprawdzał je regularnie, czekając na to, aż złapie się w nie pierzasta fortuna.

–Nic?

–Nic – odparł członek ekipy poszukiwawczej.

–W takim razie szukajcie dalej, zapłacę za nadgodziny – westchnął Rooses i z powrotem opadł na siedzenie swego skórzanego fotela, z którego poderwał się chwilę wcześniej, widząc zadowoloną minę jego nowego pracownika.

Nie mógł wiedzieć, że uśmiech ten wynikał raczej z radości wywołanej stałym dopływem gotówki, który Ferdynand Rooses zapewniał już większej części bezrobotnych mieszkańców Puurs i okolic.

Poszukiwacz był już za drzwiami, gdy nagle Rooses przywołał go z powrotem.

–Zbierz paru chłopaków i pojedźcie do Brukseli dowiedzieć się, czy nie znalazł się przypadkiem tam. Sekretarka da wam plakaty do rozwieszenia.

–Już dzisiaj? – mężczyzna oparł dłonie na framudze drzwi, przechylając się w przód i w tył.

–Tak, jak najszybciej. Benzyna na mój koszt.

Nie był co prawda przekonany, czy znajdzie swoją zgubę w belgijskiej stolicy, gdzie i człowiek potrafił zaginąć bez śladu, ale musiał spróbować. Za dwa tygodnie startowały międzynarodowe wyścigi gołębi, a on nie widział na razie w swojej stajni żadnego godnego zmiennika.

Max Lambert znał Aloisa jeszcze z czasów początków swej kariery. Szczerze powiedziawszy każdy z jego profesji przed czterdziestką znał Aloisa z początku swej kariery, bowiem nic w Brukseli nie mogło ująć jego uwagi. Był, jeśli można posłużyć się nieco niepasującą tu metaforą, sercem, przez które przepływała krew tego miasta. Żyłami tej krwi była jednak kanalizacja, a pulsowaniem pisk szczurów. Alois miał kontakt z każdym człowiekiem w Brukseli, który zajmował się sprawami, oględnie mówiąc, nieprawymi. Jego oczami byli włóczędzy drzemiący w dzień na ławeczce w parku, a dłońmi zręczne złodziejskie palce. Max udał się do niego od razu po przybyciu i poprosił go uprzejmie, aby powiedział zaufanym osobom o jego poszukiwaniach. Prośba ta kosztowała go niemało, bowiem Alois znał wartość swego imienia, ale wiedział, że ta inwestycja zwróci się z pewnością. Wolał jedynie pominąć milczeniem śmiech, który dobył się ze zdartego gardła podziemnego władcy Brukseli, kiedy usłyszał, co jest zgubą, której szuka.

Dzisiaj rano do jego drzwi zapukał nieogolony recepcjonista.

–Ktoś do pana – ziewnął i wrócił na swoje miejsce krzesło za ladą.

Max Lambert narzucił na siebie koszulę i wyszedł do holu, w którym na wysiedzianej kanapie czekał na niego obdarty z pieniędzy, godności i częściowo z ubrań włóczęga. Na jego widok poderwał się szybko, a nadzieja na zarobek zalśniła w wyblakłym oku.

–Pan Lambert? – spytał z przyuczoną nieśmiałością, a jego spojrzenie lustrowało Maxa wprawnie i zarazem bezczelnie.

–Tak, to ja – Max wyciągnął do niego rękę, którą ten uścisnął z niejakim wahaniem. – Z jaką sprawą pan do mnie przychodzi o tak wczesnej porze? – spytał, nie siląc się na zbytnią serdeczność.

–Z gołębiem przychodzę – odparł włóczęga. – A z czym innym?

–Ma go pan?! – Lambert nieopacznie podniósł głos. – Znaczy, czy ma pan go ze sobą? – dodał, poprawiając się natychmiast.

–Nie, nie mam. Ale wiem, kto go ma – na jego twarzy pojawił się tak dobrze Maxowi znany cwaniacki uśmiezek.

Postanowił go zetrzeć.

–Jest pan pewien? – wyszczerzył się do niego. – Pana sąsiadka trzyma może jakiegoś gołąbka na balkonie i chce mi go pan przynieść?

–Nie, nie, nie – potrząsnął głową włóczęga, a parę źdźbeł trawy ozdobiło dawno niezamiecione linoleum. – Ma go jakiś młody chłopak, taki, wie pan, no hipis taki.

–A, czyli gołąbek pokoju! – Max drwił dalej, jednak jego wzrok śledził każdy mimowolny gest włóczęgi. – Ma w dziobie gałązkę oliwną?

–Jest szary, a nie biały – obruszył się na to. – A ten chłopak wyprowadza go na spacer, wie pan, tak jak psa. W parku Josaphata.

–Nie kręci pan przypadkiem? – indagował dalej, nie odpuszczając informatorowi ani na chwilę.

–Ależ nie, niech Bóg mnie broni! – krzyknął włóczęga. – Alois powiedział, że pan potrzebuje wiadomości o gołębiu, więc mówię.

–Uznajmy obaj, że pan mówi prawdę i dam panu co nieco za pana fatygę – postanowił zakończyć sprawę Max. – I na dodatek chciałbym, żeby pan się dowiedział o tym hipisie czegoś więcej. Oczywiście nie za darmo. Ale – dodał po chwili milczenia – jeśli się okaże, że pan skłamał, najpierw ja pana znajdę i przemówię mu do rozumu, a później Alois. Zrozumiał pan?

–Tak – odparł włóczęga, ściskając w garści kilka doprawdy przydatnych mu w tej chwili banknotów.

–Szefie, nikt nic tutaj nie wie! – z ulicznego szumu brzęczącego nieznośnie w słuchawce wyłonił się głos informatora Roosesa.

–Szukajcie dalej! – krzyknął.

–Wrócić do Puurs?

–Nie, przenocujcie w motelu. Zwróć wam. Zadzwoń jutro.

Ferdynand odłożył słuchawkę i westchnął głęboko. Po dwóch tygodniach ciągłej niepewności, wypłacania astronomicznych sum mętom, z którymi nigdy wcześniej nie zamienił choćby słowa, unikania wszystkich zastępców w fabryce i ciągłych kłótniach z rodziną, zaczął powoli wątpić w sens poszukiwań. Ale wizja kolejnego dnia, w którym kotłowały się razem niepewności i nowe nadzieje, pociągała go jak hazardzistę trzask talii kasowanych kart.

On był hazardzistą. Powierzał powietrzu swój skarb i kazał mu gnać dziesiątki kilometrów w pogoni za nagrodą, za jego osobistą satysfakcją, za sławą, którą jego osoba od trzydziestu przeszło lat promieniała w kręgu hodowców i ścigających się. Jego gołębie miały renomę świetnie wyszkolonych, odważnych i wracających do swego gołębnika zawsze. Jego piskłeta kupowali pasjonaci nawet z drugiego krańca Europy. A tu po raz pierwszy jakieś głupie ptaszysko z zakrzywionym dziobem i niespiłowanymi pazurami zniszczyło to wszystko jednego, do cholery, poranka. A ten gołąb, zrodzony z najlepszych ptaków, jakie miał do tej pory, szkolony przez niego osobiście, po prostu zniknął, jak gdyby nigdy nic.

–A nich cię zapchlony kocur zeżre! – ryknął nagle, aż szyby w jego gabinecie zatrzęsły się ze wstrętem danym tylko przedmiotom nieożywionym.

Postanowił, że gdy jutro nie otrzyma żadnych informacji, zawiesi akcję poszukiwawczą i będzie czekał już tylko na odezwy z ogłoszeń.

Ten ptak był już praktycznie dla niego stracony.

Od tamtej pory niemal każdego poranka wsadzałem Lennona pod pachę i udawałem się z nim do parku Josaphata, gdzie John mógł sobie trochę pofruwać, a ja zamiast czytać przyniesione ze sobą podręczniki, jak idiota gapiałem się w niebo i śledziłem lot mojego Johna.

–Wiesz co, John? – mruknąłem do niego, kiedy wylądował obok mnie. – Spodoba ci się na wsi u moich starych. Oni jeszcze o tobie nie wiedzą, ale z pewnością nie będą mieć nic przeciwko.

Przygarnąłem go do siebie delikatnie i wstałem z trawy.

–Pora się zbierać – powiedziałem i podążyliśmy razem do wyjścia.

Już miałem wchodzić na główną alejkę, gdy podbiegł ku mnie zasapany mężczyzna. Wyglądał jak ostatni obdartus i już miałem powiedzieć mu, że nie zabrałem drobnych (co zresztą było prawdą), kiedy on rozchylił usta w wybrakowanym uśmiechu:

–Młodzińcze, masz ślicznego ptaszka!

–Ja?... – zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. – Ach, tak, mam – po chwili wahania musiałem powstrzymać się przed parsknięciem śmiechem.

–Widuję cię już od trzech dni razem z nim. Gdzie ty go w Brukseli trzymasz?

–Mieszkam z nim nieopodal – odrzekłem wymijająco.

Cała ta sytuacja wydawała mi się coraz dziwniejsza, tym bardziej, że włóczęga wyraźnie nie mówił wszystkiego, co kotłowało się pod jego kołtunami. Zaczęło mnie to denerwować.

–W samym centrum?! – wykrzyknął zdumiony obdartus. – Nie masz gołębnika na wsi?

–Nie, nie mam – niemal warknąłem na niego. – Mieszkam razem z nim w mojej kawalerce i świetnie się razem dogadujemy. Lepiej niż z niejednym studentem – dodałem, by natychmiast tego pożałować.

–A na studia to ty nie chodzisz chłopcze? Jakies problemy? – mrugnął do mnie porozumiewawczo.

–Mam nadzieję niedługo zacząć – odparłem sucho. – Przepraszam pana bardzo, ale...

–A mógłbym tylko zobaczyć bliżej twojego gołąbka? – spytał włóczęga, nie pozwalając mi dokończyć.

Rozchyliłem poły kurtki i zbliżyłem się nieco do obdartusa, aby mógł zobaczyć Lennona, który na widok obcej twarzy tak blisko niego, potrząsnął piórkami.

Ze złośliwą radością dostrzegłem wyraz obrzydzenia na jego dzióbku.

–Śliczny jest – zaseplenił włóczęga i wyprostował się. – Dziękuję ci bardzo, zmykaj na obiadek.

–Do widzenia – odparłem jak najuprzejmiej i szybkim krokiem oddaliłem się od miejsca tego dziwaczного spotkania.

Wyszedłem przez główną bramę parku i już miałem skierować się do domu, gdy moją uwagę przykuł wielkie ogłoszenie przyklejone na słupie.

–„Poszukiwany gołąb pocztowy Ferdynanda Roosesa” – przeczytałem tylko i nogi ugięły się pode mną.

Złapałem się wolną ręką o słup ogłoszeniowy. Z dołączonego zdjęcia patrzył się na mnie John.

–Szefie, jest sprawa! – usłyszał w słuchawce podniecony głos jednego z jego ekipy.

Wyskoczył z łóżka jednym susem i rzucił szlafmycę w drugi kąt sypialni. Potargana nocą głowa jego żony wychyliła się spomiędzy pierzyn.

–Jakiś menel powiedział nam, że widział chłopaka z takim samym gołębiem, jak szefa – kolejne informacje uderzały w zaspany umysł Ferdynanda Roosesa. – I jeszcze najdziwniejsze – jego informator zawiesił głos na chwilę. – Ten obdartus mówił, że ktoś już go szuka i powiedział temu komuś to wcześniej, ale liczył, że coś jeszcze za tego gołębia dostanie. Odpaliliśmy mu trochę i się ucieszył. Mówił, że ten chłopak mieszka z nim w okolicy Parku Josaphata i chodzi z nim codziennie na spacer.

–Szukajcie go! – tylko to był w stanie wydusić Rooses.

Odwiesił słuchawkę.

–Są na tropie! – wrzasnął bardziej do siebie niż do żony, która spojrzała się na niego jak na wariata.

Wstał od razu i poszedł do łazienki, by być jak najszybciej gotowym na nadchodzący dzień.

Całe miasto wiedziało już o moim zaginionym przyjacielu, a ja tłukłem się po mieszkaniu jak po ciasnej klatce. Miałem zupełną pustkę w głowie.

John miał poprzedniego właściciela: to wiedziałem od początku i nie mogłem temu zaprzeczyć nawet przed samym sobą. Jednak po paru dniach od znalezienia Lennona doszedłem do wniosku, że zagubiony ptak z pewnością nie stanowi aż tak wielkiej straty dla posiadacza całego gołębnika, co, jak się okazało, było olbrzymim błędem. Oddać jakiemuś Roosesowi mojego Johna? Przecież dałem mu kilka dni temu wybór, mógł polecieć, gdzie by tylko zechciał, mógł wrócić do swojego pana, mógł zostać ze mną. I jakimś cudem wybrał mnie.

–Nie oddam cię za nic w świecie – szepnąłem do Johna, który właśnie delektował się swoją karmą. – Za nic w świecie – powtórzyłem, a w mojej duszy zakotłowało się tak samo, jak sekundę przed tym, kiedy trzasnąłem mojego wykładowcę lewym sierpowym.

–Mieszka w okolicy Parku Josaphata, tyle się dowiedziałem.

–Coś jeszcze? – spytał Max Lambert, ubrany i gotowy do wyjścia.

Cenił popołudnie za powszechną leniwość, jaka ogarniała każdego rozsądnego mieszkańca dużego miasta zmęczonego całodzienną pracą.

–I że mieszka w kawalerce – dodał włóczęga. – Dostanę co nieco?

–Tak – odparł Max i wyciągnął z kieszeni kilka banknotów. – Ale dla nas obojga będzie lepiej, żebyś mówił prawdę.

Dziś rano, kiedy poszedł do kawiarni na śniadanie, zobaczył porozwieszane ogłoszenia Roosesa. Wiedział doskonale, że musi zakończyć sprawę do zmroku, bowiem i w Brukseli nagroda, którą wyznaczył za swoją zgubę Ferdynand Rooses, mogła wzbudzić pewne emocje.

Ferdynand Rooses siedział za biurkiem i wbijał wzrok w telefon, który mógł zadzwonić lada chwila, bowiem co dwie, trzy godziny dzwonił do niego jeden z ekipy. Na razie poszukiwania chłopaka nie przyniosły żadnego skutku, nie licząc wytarśnięcia paru napotkanych w Parku Josaphata i okolicy hipisów, którzy jednak ani nie wiedzieli nic o gołębiu, ani nie odpowiadali do końca podanemu przez włóczęgę rysopisowi.

Rooses kręcił się niespokojnie w skórzanym fotelu i zastanawiał się, czy dotrzymać danej sobie wczoraj obietnicy. Wczoraj było o wiele bardziej odległe niż droga z Puurs do Brukseli.

Wszyscy podziwiali Maxa Lamberta za połączenie wielkiej wytrwałości z niewzruszoną systematycznością, łącznie z nim samym. Nauczył już bardzo dobrze owo połączenie wykorzystywać, zdobywając przewagę w branży i wdrapując się na kolejne szczeble drabiny prowadzącej do zakurzonego strychu najwyższego aryzmu. Jedyłą jednak rzeczą, której pojąć nie umiał przez te wszystkie lata, była tajemnica pracy grupowej. Był samotnym wilkiem polującym w prastarej puszczy ludzkiej głupoty i lekkomyślności, stroniącym od towarzystwa watahy. Przyjęcie do współpracy jakiegokolwiek współnika kończyło się zawsze dla niego niefortunnie. Jednak i z tym Max nauczył się żyć.

I w tym wypadku nie zdał się na nikogo, oprócz swego umysłu, który podniecony sprawą fruwał mu pod czaszką jak jastrząb napojony potrójnym espresso.

Chłopak studiuje, więc raczej nie stać go na dobre mieszkanie w Ixelles, chyba, że mieszka z rodzicami. Trzeba będzie się tam przejść, przyjrzeć się bliżej tamtym domom i zdać się na łut szczęścia.

Jak pomyślał, tak zrobił. Wyszedł z motelu i wsiadł do najbliższego tramwaju jadącego do Ixelles. Wolał nie używać swojego samochodu, ponieważ wychodził z założenia, że im mniej numerów, które ktoś mógłby zapamiętać, tym lepiej. Co prawda chodziło tylko o raptowne pozbawienie przytomności jednego hipisa, ale ostrożności nigdy nie za wiele. Wskoczył z tramwaju na pierwszym przystanku w Ixelles i rozpoczął swój spacer po dzielnicy nauki i uniwersytetów.

Mijali go wygarniutowani po brzegi wykładowcy i rechoczący ze swych dowcipów studenci, a on nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo nie należy do tego świata. Nagle ogarnęła go niepewność.

–Nie, tylko nie teraz! – warknął do siebie pod nosem.

Wielu śmiało się z jego przesądów i przewrażliwienia w kwestiach związanych z intuicją. Też by tak zrobił na ich miejscu, gdyby one nie działały.

–Weź się w garść! – mruknął i przyspieszył kroku, spoglądając na kamienice, wyrastające po obu stronach ulicy.

Sondował je uważnie, śledził odrapane fasady, rozeschnięte drzwi i łuszczącą się z okien farbę. Najcichsze skrzypnięcie starych zawiasów zwracało jego uwagę, ale po przejściu paru przecznic zaczął wątpić w sens takich poszukiwań. Wszystkie domy były beznadziejnie zadbane.

Może ma bogatych rodziców z prowincji. To też jest przecież możliwe.

Nagle zobaczył kamienicę, za którą błąkał się po całym Ixelles. Wzorowo odlatujący tynk, niemalowane od pół wieku drzwi i rdza delektująca się niespiesznie kolejnymi żeberkami balkonów i barierek. Jak w każdej takiej kamienicy, nikt nie kwapił się, aby zamykać wejściową bramę na klucz, więc Max wszedł do środka bez przeszkód. Teraz musiał przeprowadzić dyskretny wywiad. Zapukał do pierwszych drzwi na parterze i wziął głęboki wdech. Otworzyła mu staruszka, chwiejąca się tak mocno pod ciężarem osiemdziesięciu lat, że Max zdziwił się niezmiernie, że nie powalił jej przeciąg hulający beczelnie po klatce schodowej.

–Dzień dobry pani – uklonił się głęboko. – Czy pani mieszka tu na stałe?

–Tak – doszedł do jego uszu drżący szept. – Dlaczego pan pyta? – utkwiała w nim szklane spojrzenie niemal przezroczytych oczu.

–Szukam znajomego mojego dobrego kolegi – na poczekaniu wymyślił jedną z tych maleńkich historyjek, które mają tę wspaniałą cechę, że brzmią zarazem niewiarygodnie i wiarygodnie.

Jak motyl, który raz wygląda jak jesienny liść, a raz jak lisie oczy.

–Muszę mu coś przekazać, a jego nazwisko wyleciało mi z głowy, tak samo jak numer, pod którym mieszka. Czy jest tu jakiś chłopak, tak około dwudziestoletni? – uśmiechnął się lekko, udając zawstydzenie swą paskudną pamięcią.

–Tak, mieszka tu taki pod szóstką – odparła powoli staruszka. – Powinien być chyba w domu. Czy to wszystko?

–Tak, dziękuję pani bardzo. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem pani zbyt wiele.

Odrobina szarmanckiego zachowania zawsze była w takich wypadkach wskazana.

–Ależ skądże – rozpromieniła się kobieta. – Do widzenia panu!

–Do widzenia – odparł i nie tracąc czasu wszedł na drugie piętro.

Przed numerem szóstym był już lodowato spokojny. Każdy jego ruch był wyważony, bezszelestny, do głębi celowy. Przyłożył ucho do drzwi.

–...John, zlatuj mi zaraz z mojej książki!

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Wsuwka była niezrównanym narzędziem do otwierania takich zamków.

Wślizgnął się do wąskiego korytarzyka i posuwając się tuż przy ścianie, zbliżał się do saloniku. Wychylił głowę zza framugi i spojrzenie jego padło na pięknego szarego gołębia ze zdjęcia, który siedział spokojnie w pudełku po butach.

Pomarańczowe oko łypnęło na niego i ptak wzbił się w powietrze, trzepocząc skrzydłami.

–Co znowu John? – zawołał chłopak i wstał z fotela.

Tylko na to czekał przyczajony Max. Jednym susem wskoczył do pokoju i powalił chłopaka na ziemię. Zaskoczony zwałił się na dywan jak kłoda, ale szybko zaczął walczyć. Max zdziwił się jego siłą, jednak jego położenie dawało mu znaczącą przewagę. Trzasnął nim parę razy o podłogę tak mocno, że hipis nie zdążył nawet jęknąć, zanim zemdłał. Po jego długich włosach zaczęła spływać strużka krwi. Max podniósł się szybko, związał mu dla pewności ręce znalezionym sznurkiem i podążył do kuchni, gdzie znalazł gołębia siedzącego na lodówce w najdalszym kącie pomieszczenia. Zdjął kurtkę w mgnieniu oka i zarzucił ją na ptaka, który zatrzepotał bezsilnie. Zdjął zamotanego gołębia z lodówki i opuścił mieszkanie najszybciej, jak tylko mógł to uczynić bez wzbudzenia podejrzeń sąsiadów z piętra. Zamknął za sobą drzwi przez rękaw koszulki i zszedł po trzeszczących schodach, trzymając pod pachą kurtkę z gołębiem, który wyczerpany walką przestał się szamotać.

Ulica, jak zwykle po takiej akcji, wydawała mu się nienaturalnie spokojna. Spacerujące starsze pary, kobiety pchające wózki, z których wyglądały oślinione bachory. Niedługo zaczną nosić długie włosy i kraść gołębie.

Ocknąłem się jakiś kwadrans później. Podniosłem się z trudem i usiadłem na dywanie, na którym czerwieniła się spora, lepka plama. Kręciło mi się w głowie tak mocno, że upadłbym z powrotem, gdybym nie oparł się o fotel. Zbir, który wpadł do mojego mieszkania, pozbawił mnie przytomności i związał mi ręce, a na pierwszy rzut oka nie wziął niczego.

–John, gdzie jesteś? – zawołałem i wstałem, chwiejąc się jak pijany. – Gdzie jesteś? – powtórzyłem słabo.

Poszedłem do kuchni i przeciąłem nożem sznurek na rękach.

–John?! – krzyknąłem i w panice zacząłem zaglądać pod wszystkie meble.

Otwierałem na oślep szafki, wywróciłem fotel do góry nogami. Mój skrzydlaty przyjaciel został porwany.

Max Lambert, żeby przejść na przystanek tramwajowy, musiał skrócić w łącznik bardziej, niż uliczkę, łączący dwie główne ulice. Cienie dwóch rzędów kamienic łączyły się na środku chodnika w jedną gęstą cienistość, której wiecznego snu nie przerywał ani jeden promień słońca. Chłód dobywający się z owej uliczki nie wprawił Maxa w dobry nastrój. Chętny byłby nawet nadłożyć drogi, ale wolał nie ryzykować bardziej niż wpisane to było w granice zdrowego rozsądku.

Wilgotny bruk odpowiedział mu dźwięczeniem jego kroków w dziesiątkach ech rozbrzmiewających w tej ciszy wielce niestosownie. Gołąb odzyskał najwyraźniej siły i znów zaczął się szamotać w zwojach jego kurtki.

–Przestań się wiercić, do jasnej cholery! – warknął i w tym momencie runął na ziemię, ścięty z nóg potężnym uderzeniem drewnianej pałki.

–Szefie, mamy go!

Ferdynand Rooses skoczył na równe nogi i zamarł, wisząc nad biurkiem, związany z ziemią li tylko telefonicznym kablem.

–Już do pana z nim jedziemy. Odebraliśmy go jakiemuś facetowi, który wydzierał się na swoją kurtkę w uliczce w Ixelles. Przechodziliśmy z chłopakami akurat nieopodal i

zobaczyliśmy gościa, jak idzie przez miasto ze zwiniętą kurtką pod pachą. Myślmy sobie, że nie jest chyba tak ciepło, żeby nie mieć na sobie kurtki. Ale dopiero wtedy jak się wydarł, byliśmy już pewni. Pałką w łeb i ptaszek nasz. Nieco wymięty, ale nic mu nie jest. Numery się zgadzają. Za jakieś dwie godzinki będziemy z powrotem.

Najdłuższe dwie godziny w życiu Roosesa, podczas których miał szansę zrozumieć teorię względności, wykonać pierwszorzędne tłumaczenie eposu o Gilgameszu i znaleźć sens w trzydziestu trzech obrazach Salvadora Dalego, wreszcie skończyły się, gdy jego ekipa poszukiwawcza, wyszczerzona w rekinich uśmiechach przestąpiła próg jego biura z małym pudełkiem po butach.

–Proszę, oto pańska zguba – powiedział jeden z nich i wręczył mu pudełko z ceremonialnym ukłonem, który za nic nie pasował do jego aparycji.

Rooses jednak nie miał czasu się nad tym zastanowić. Ostrożnie wziął do ręki pudełko i otworzył je powoli. W środku siedział jego skarb i łypał na niego pomarańczowym okiem.

–Mój maleńki – szepnął Rooses i wyciągnął go ostrożnie, by zobaczyć numer na obrączce, który zgadzał się z tym pamiętanym przez niego nawet we śnie.

–Nie wiem, jak mam wam dziękować – podniósł wzrok ku barowemu kwiatowi Puurs, którzy w tym momencie wydawali mu się starożytnymi herosami.

–Najlepiej gotówką – usłużnie podpowiedział jeden z członków ekipy.

–Już wypłacam i dodaję za fatygę – odparł Rooses.

W tym momencie gotowy był im podarować nawet po nowym samochodzie.

–Potrzymajcie go, a ja pójdę do sejfu. Zaraz wrócę – przekazał gołębia najbliższemu z nich i zniknął w małym składziku na tyłach biura.

Wykręcił kombinację cyfr i odliczył dla każdego plik nowych banknotów dopiero co wybranych z banku. Wrócił do nich i wręczył każdemu jego dolę, dziękując tak wylewnie, że niejeden z nich uronił nawet łezkę. Liczenie tak dużej sumy wywoływało spory wysiłek dla nienawykłych do tego oczu.

–Będę wam dozgonnie wdzięczny – powiedział na pożegnanie Rooses, gładząc swój skarb i zamknął za nimi drzwi biura.

Dziś wrócił do domu wcześniej i przy milczącej asyście rodziny uroczyście włożył perłę swej hodowli do jego starej klatki, specjalnie na tę okazję wyczyszczonej i pełnej gołębih wiktuałów.

–Witamy w domu – rzekł Rooses i zamknął za nim drzwiczki.

Rano, kiedy przyszedł do niego, jego odzyskany skarb siedział nadal w tym samym miejscu. Jedzenie pozostało nietknięte.

Jak na ironię następnego dnia otrzymałem pismo z uniwersytetu, w którym sam rektor ogłaszał z radością, że przywraca mnie do studenckiego życia. Jeszcze wczoraj golnąłbym sobie razem z Johnem piwko i puściłbym Beatlesów na cały regulator, a dziś nie miałem nawet chęci do wyprodukowania gorzkiego nawet uśmiechu.

Snułem się po mieszkaniu jak błędny ogień po trzęsawisku, a poczucie całkowitej bezsilności lazło za mną krok w krok, nie opuszczając mnie nawet wtedy, kiedy szedłem się odlać.

Nie miałem innego prawa do mojego przyjaciela oprócz radości w jego ślepkach, gdy lądował z furkotem szarych piór na moim ramieniu.

Mimo tego, że wszyscy mówili mu, że nie ma najmniejszego sensu męczyć ptaka przygotowaniami do najbliższego wyścigu, Ferdynand Rooses był nieugięty. Jego skarb zaczął w końcu jeść, choć czynił to niechętnie. Rooses tłumaczył ten brak apetytu przeżyтыми traumami i postanowił spędzać ze swym skarbem jak najwięcej czasu. Jednak długie godziny spędzone w gołębniku nie dawały najmniejszego rezultatu: ptak nie zwracał na swego

właściciela najmniejszej uwagi i siedział osowiały na żerdce, od czasu do czasu sfruwając po kilka ziarenek.

Niemal tydzień po odzyskaniu gołębia, Rooses uznał, że dłużej z treningami czekać nie można. Pogoda zrobiła się wyjątkowo słoneczna i ani jedna chmurka nie przysłaniała błękitnej sceny, na której miał nastąpić wielki powrót jego wychowanka. Pewnego poranka otworzył więc klatkę i wyjął z niej ptaka, który zaczął nagle trzepotać w jego dłoniach z energią, której Rooses jeszcze nigdy u niego nie widział.

–Spokojnie, spokojnie – roześmiał się i wyszedł razem z nim przed gołębnik. – Stęskniłeś się pewnie za treningiem, ot co!

Nie przedłużał tej chwili: puścił swój skarb, który wzbił się w powietrze, zagarniając łąpczywie skrzydłami kęsy niebieskiego przestworu. Rooses zadarł głowę do góry i przyklepał spojrzenie do swego ptaka.

Nie zdało się to na nic.

Gołąb zatoczył wielkie koło, wzleciał w niebo jeszcze wyżej i pofrunął ścigać odległą linię horyzontu.

Ferdynand Rooses czekał na niego do wieczora, a fabryka zanotowała dwukrotny spadek wydajności.

Ze snu wyrwało mnie skrobanie pazurków po parapecie. Poderwałem się z łóżka, uderzając palcem bosej stopy o krzesło i podbiegłem do okna. W pomarańczowym oku Johna Lennona ujrzałem szczęście tak wielkie, jakie może mieszkać tylko w sercu szarego gołąbka pokoju.